

Wspomnienia męża Stutthofu, Waltera Theisebacha z Wejherowa

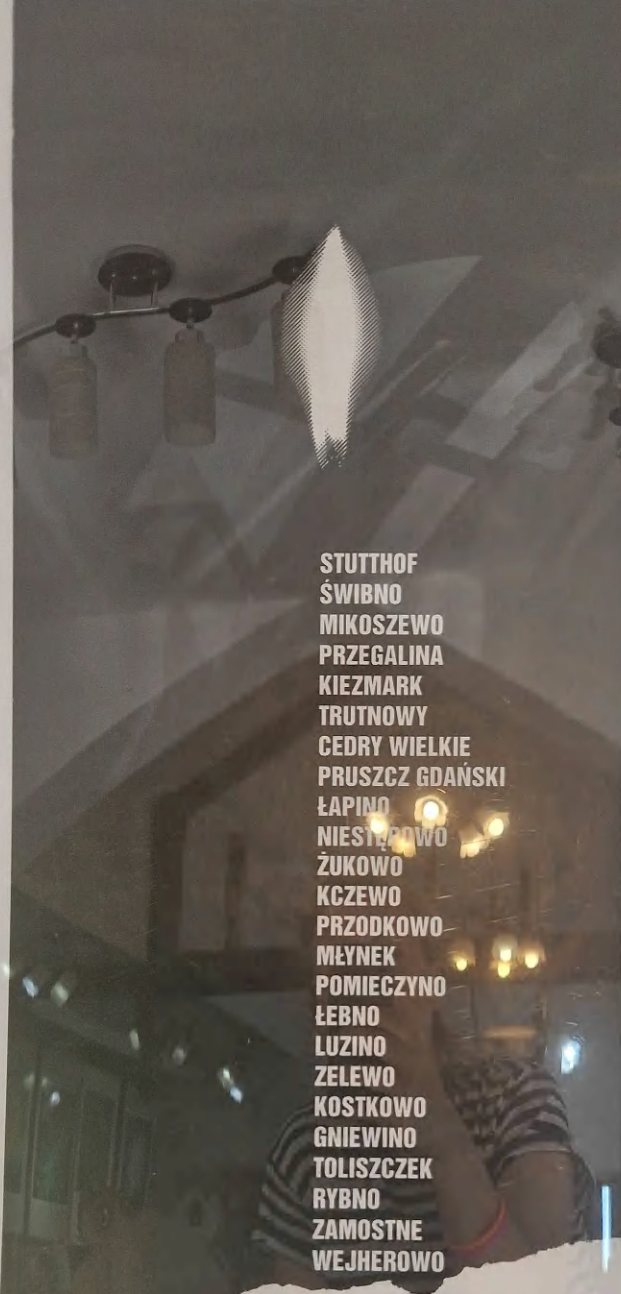
Woj, mąż śmierci - zaczął się w m-cu
stycznia, dokładnie do nie pamiętam,
1945 r. z niemieckiego Burgraben - Jankowski.
Był tam, filiala obozu Stutthof, wówczas
nas codziennie specjalnym pociągami do pracy
w Siedlce - Górki, Stacja Jankowska. -
Była z tym u nas bardzo zima, dużo
śniegu i mrozu. Na apel, przed wymar-
szem, każdy otrzymał chleb, który miał
stać się na 3 dni. Nie mówiono nam przy-
wić, dokąd mamy iść. Tam nas było,
nie pamiętam, jednak cały obóz został
evakuowany. Po uwolnieniu wieśdaliśmy,
że to był mąż o naszej ciąży. Słyszeliśmy przez
Żukowa, Żubra, Turina, Zolera aż do Rybna.
Mówili, spaliśmy w kościołach i stodółkach.
Dzieci z nas nie otrzymali żadnego tego
materiału, zmarli z głodu, zimna, choroby
itd. Wielu po prostu rozstrzelano, jak już
nie mógł iść dalej. Pomimo że nie
wolno było dać nam cokolwiek ze strony
Ludności, niektórym udało się coś mieć
podręczne. Ludność bardzo chciała nam
pomagać. Ja spalem w kościołach w Żubnie
i Turinie. W Turinie jednak zdzielił nam
przygotować jakiś zapas. A jednak tam ten rzeczy
nie, nie wiedzieli. Dalej mąż mój wiódł
przez Rybno, Zolera do Rybna (Rieben)
Tam mieliśmy z tym obóz, bo w Rybnie
też był obóz, mówili i rusz dalej iść. Ale
z wieścią z tym, że wybuchł tam bój, i
porozumiewaliśmy z tym obóz aż do uwolnienia
nas przez Armie Czerwone. Przez 3-5 dni
pozwalał nam nikt z nas nie zostawił przy-
jęć. Tak zżiwiskował nas ten bój
brutalny. Ja ważyłem 33 kg, kiedy pierwszy
raz po chorobie, mojem na kryn

porużył się, Tam w dybie ginęło wielu,
który tam strachy nasz przylepił i to krótko
przed wyzwoleniem. O tym obozie Rabea pisał
te 50 lat bardzo mało, nie pisał i mówił.
O dleżę, to porostomian historykom.
Tam straciłem moich najdroższych kolegów.
3, 5 roku niedzielnym w różnych obrotach kon-
centracyjnych i na własnej skórze poznalem,
ile ciociach moje wytrzymał i co potrafi
ciociach przez nieudzielenie drugiemu ciociach-
kowi tego zrobić. - Tam nasz śmierci i
ci ludnie, który tam zginęli dawno temu
w swojej pamięci.

Heller Thiesbeck

Mr. obrotu 96395 Skiffhof

ul. Harcerska 7/1
84-200 Weyherowo



STUTTHOF
ŚWIBNO
MIKOSZEWO
PRZEGALINA
KIEZMARK
TRUTNOWY
CEDRY WIELKIE
PRUSZCZ GDAŃSKI
ŁAPINO
NIESTĘPOWO
ŻUKOWO
KCZEWO
PRZODKOWO
MŁYNEK
POMIECZYNO
ŁEBNO
LUZINO
ZELEWO
KOSTKOWO
GNIEWINO
TOLISZCZEK
RYBNO
ZAMOSTNE
WEJHEROWO

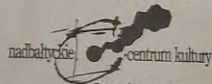
FRAGMENT TO MAŁA CAŁOŚĆ

DAS FRAGMENT IST EIN KLEINES GANZES
SIGRID SIGURDSSON

24 MIEJSCOWOŚCI PISZA SWOJĄ HISTORIĘ
24 ORTE SCHREIBEN IHRE GESCHICHTE
1939-1995

WYSTAWA Z OKAZJĄ 50. ROCZNICY ZAKOŃCZENIA II WOJNY ŚWIATOWEJ
AUSSTELLUNG ZUM 50. JAHRESTAG DES KRIEGESENDES

PRZEDSIĘWZIECIU TOWARZYSZY WYSTAWA
"MIASTO I LUDZIE PO ZAKOŃCZENIU DZIAŁAŃ WOJENNYCH"
PRZYGOTOWANA PRZEZ ARCHIWUM PAŃSTWOWE W GDAŃSKU



Ratusz Staromiejski
Gdańsk, Korzenna 33/35

"FRAGMENT TO MAŁA CAŁOŚĆ"
otwarcie wystawy niemieckiej artystki
SIGRID SIGURDSSON w Gminnej Bibliotece
Publicznej im. Leona Roppa w LUZINIE dn.
11. 06. 1995 o godz 15⁰⁰

"Sigrid Sigurdsson, niemiecka artystka
z Hamburga, zabrała z sobą do Polski nie-
codzienny bagaż - 10 tysięcy arkuszy spec-
jalnie spreparowanego papieru. Sigurdsson
jest jednym z kilkunastu artystów, którzy
wezmą udział w przyszłorocznej gdańskiej
wystawie Memento, poświęconej 50 rocz-
nicy zakończenia II wojny światowej."

Taki tekst drukowany w "Gazecie Morskiej"
z dn 16. 08. 1994 zapowiadał on finał
wystawy, która 8. 05. 1995 została
otwarta w Nadbaltyckim Centrum
Kultury w Gdańsku. Dziś ta sama
wystawa znajduje się w murach na-
szej biblioteki. <11.06 - 28.06.1995> Od
8.09 - 10.11.95 będzie w Hagen, a 26.11.95
- 7.01.96 w Erfurcie < Niemcy >.

Wystawa jest "otwartym archiwum"
historii. Ma na celu konfrontację z
historią w sensie pamiętnika. Stwierdzenia
do refleksji nad współczesnością i
przyszłością.

To dokumenty z 24 miejscowości
dotyczących wspomnień wojennych
oraz współczesnego problemu inter-
pretacji wojennych oraz odradzania

sie przemocy na świecie.

Pani Sigrid Sigurdsson o swej poprzedniej wystawie "przed cisza" <wystawionej w Hagen> napisała:

— zapis historyczny, pełen luk — nie dlatego, że się nie pamięta — lecz nikt nie jest w stanie wszystkiego wystuchać zanim nastanie cisza.

Na otwarciu wystawy byli:

wójt Gminy — Jarosław Wejert, przewodniczący Komisji oświaty, kultury i sportu — Kazimierz Bistrón, Skuttowiacy p. Elzbieta Ziemann, p. Miotk, współautorzy Kasety z Luzino p. Anna Drabik, R. Klinkosz, M. Krośnicka. Kombatanci. Nauczyciele Gertruda Kowalczyk, Andrzej Janusz, Halina Mudlof, Alicja Klinkosz, A. Potyko. Pracownicy Kultury: Waldema Belle, Kryptyna Kottowska, Kryptyna Potyko, Helena Kottowska <bibliotekarka emerytowana, która przepracowała w miejscowej bibliotece 30 lat zbierając dokumenty historyczne z Luzino> z mężem.

Nadleśniczy Mariusz Kaliszewski,
Prezes PSL Bronisław Świniarski,
Prezes ZG ZKP Brunon Szpica, Przewodniczący KG Maria Kłitstock,

Reprezentantami z Gdańskiego Nadbałtyckiego Centrum Kultury były: p. v-ce Dyrektor Jaworowska, p. Kiszkiś, odpowiedzialna za wystawę Fryderyk Kaszel. Również przybył były lekarz zaprzyjaźniony z LUZINEM.

Otwarcia dokonała Maria KROŚNICKA omówiła sylwetkę artystki niemieckiej i cel tworzenia talii formy "otwartego archiwum." Uświetniono całość koncertem organowo-skrzypcowym w wykonaniu instruktorów GOK w Luzinie p. Izabeli Hofman <skrzypce> p. Cezarego Kaszel <organy>. Wykonali: Serenadę SEUBERTA Poemat Hendle i "skrzypka na dachu"

Pani Sigrid Sigurdsson nie mogła zaszczyścić otwarcia i przystąpiła na ręce Wójta fax.

Pani Sigurdsson urodziła się w 1943 r. w Oslo, dzieciństwo spędziła w Islandii, a od 1951 r. mieszka w Hamburgu gdzie w latach 1961-66 studiowała w Wyższej Szkole Sztuki Pięknych.

Kopia fax wklejona na następnej kartce

Dear Jarostaw Wejar,

7.6.95

unfortunately the Baltic Centre of Culture
in Gdansk informed me but now of the
opening in Lucina today (7.6.95).
It is not possible for me to come till 11.6.,
I am sorry.

Thanks to all of you

dearly greetings from Lipid Björnsson



To Jacobus Wej
from Linet Lijndsson

14. 6. 95

Dear Jacobus Wej,

Thank you very much
for the wonderful opening
from the exhibition on the 17. 6.

Joanna Miskis had far to
me.

Many greetings from Linet



Greetings to all:

Do nas wtóry w Surinie z Pomania
w towarzystwie p. Karimiera Bróskowskiego
z Chumelna
w kilkadziesiąt dni przed jubileuszem
750-lecia Surina, naszego grodu
pomorskiego.

Stę w dare słuic swój Matki Boiej
Póianicowej z kościoła Parafialnego w Su-
rinie, (eventl. do wykorzystania w mono-
grafii autorstwa prof. Gerarda Labudy
z Pomania, rodem z Surina.)

Gratulacje i najlepsze życzenia
na ten wspaniały jubileusz

Rajmund T. Jacek
z Pomania

Surino, dn. 14.07.1995.

Lizino, d. 25. 7. 95

Fragment to mata ca losc

Ich war hier und habe mich an
den Todesmarsch von Huthoff nach
Wejherowo erinnert!

Wie mußten die Chenschen leiden!

So etwas darf nie wieder geschehen!

Haraca Witke, Hamburg

Anna Drabik z domu Klotzke ur. 13.01.1933 w
Luzinie zamieszkała Luzino 10 Marca 2.

Gdy pierwsze kolumny więźniów z obozu koncentracyjnego
Stutthow przyszedł do Luzina na początku lutego 1945 roku. Tak
ich zobaczyliśmy wychudzonych, mizernie ubranych w drewniakach
i obdartych - widok był to straszny dla nas jeszcze dzieci.
Więźniowie nocowali w kościele ewangelickim i na sali u
Wittbrotha (obecnie sali Semaków). Kierownik szkoły Popper udo-
stępnił kuchnię w "starej szkole" do gotowania zupy. Gospoda-
rze z wielu wsi zwozili produkty do zupy. W naszym
domu kroiliśmy chleb i pakowaliśmy. Gorąca zupa była
nalewana do kanwi po mleku i dowożona. Gotowaniem
zajmowała się m.in. p. Wądrowa i moja matka Anna
Klotzke. Gotowy prowiant zawoził mój Ojciec Antoni
Klotzke i Gertruda (siostra) po mężu Maquaska. Siostra
opowiadała, że więźniowie którzy zjedli zupę, szybko
myli mienaszki moczem i stawali po drugiej porcji.
Kahmani gdy to widzieli krzyczeli, wówczas mój Ojciec
powiedział, że nie mają się wtrącać, bo on ma
dla nich żywność i wszyscy najedzą się do syta.
Wiele osób z sali Wittbrotha uciekło przez okienko,
o którym Niemcy nie wiedzieli. Byli też tacy, którzy
wychodzili w nocy po żywność do naszego domu i
wracali, bo bali się uciekać. My jako dzieci szybko
zauważyliśmy, że na drodze "marszu śmierci" nie
wolno było rzucać kromek chleba, bo za złapanie
jej więźniów zabijano. Takie zabito jednego więźnia
przy "starej szkole", a drugiego przed budynkiem
Wittbrotha.

Po wyprowadzeniu więźniów z Luzino zaprowa-
dzono ich do Rybna. Do Rybna mój Ojciec no-
cami zawoził polwojony i popakowany chleb.
Przyjazdy z żywnością były umówione ze zna-
jomym Kahmanem.

Ojciec opowiadał, że na cmentarzu katolickim
pochował żydówkę nie w zbiorowej mogile pod
płotem tylko na drodze przy trzeciej części
cmentarza (blisko tego miejsca pochowani są moi
rodzice).

cd p. Anna Drabik

Zabita Żydówka miała złote zęby i aficerki na nogach. Osoby współuczestniczące w pochówku twierdziły, że to szkoda zakopać ją z tak cennymi rzeczami. Ojciec zabronił i sprawdzał czy nikt nie rozkopał grobu. Nikt się nie odważył?

Pod koniec działań wojennych na sali Witthbrota nocowali przesiedleńcy niemieccy ok 300 osób, i wówczas również gotowaliśmy dla nich żywność, przez dwa tygodnie. Ludzie ci byli bardzo głodni i za kawałek chleba chcieli oddać drogocenne rzeczy. Pamiętam Niemkę z 4 dziećmi < od kilku miesięcy do 5 lat >. Nie miała nic z dobytku tylko dzieci i to co na sobie ubrane. Ostatni transport pociągu na statek do Niemiec nie dołynął i zatonął. Kobieta z dziećmi również.

Ojciec opowiadał, że z tego dworu pochowano na cmentarzu ewangelickim 11 osób. Zwłoki te znajdują się obok wyasfaltowanej alejki i już nikt o tym nie pamięta. Przechodząc obok tego zlikwidowanego cmentarza, jeszcze to widzę - to również ludzie, o których należy pamiętać?

Drabik Anna



NASZA GMINA

Bieszkowice * Boleszewo * Gniewowo * Gowino * Gościcino * Góra Pomorska * Kapino * Kniewo
* Łężyce * Nowy Dwór Wejherowski * Orla * Reszki * Sopieszyno * Ustarbowo * Warszkowo * Zbychowo

Nr 2 (12)

Rok II

ISSN 1426-1472

Luty 1997

Egzemplarz bezpłatny

Miejsce jak dom

Dawny przyfabryczny dworek w Gościcinie przez wiele lat był siedzibą przedszkola i żłobka przyzakładowego, potem przez krótki okres mieściła się w nim placówka opiekuńczo-wychowawcza. Od 1 stycznia 1995 roku w budynku tym istnieje Przedszkole Samorządowe.

Początkowo do przedszkola uczęszczało 32 dzieci, teraz placówka zajmuje się prawie 50 milusińskimi. Przedszkole ma dwa oddziały - dla trzy-czterolatków i dla pięcio-sześcioletków. Zdecydowana większość dzieci należy do rodziców pracujących w Kłose - Gościcińskiej Fabryce Mebli. Personel przedszkola składa się z siedmiu osób wraz z dyrektorką Jadwigą Meyer, która z gościcińskim przedszkolem związana jest zawodowo już od ponad 24 lat.

Nowa struktura organizacyjna przedszkola sprawiła, że placówka uzyskała szansę harmonijnego rozwoju, doskonalenia pracy opiekuńczo-wychowawczej. Dzięki reorganizacji uporządkowana została kwestia finansowa przedszkola. Placówkę zasilają środki finansowe przekazywane przez zarząd fabryki, władze gminy Wejherowo oraz opłaty, które uiszczają rodzice.

Fabryka pokrywa w dużej mierze koszty eksploatacyjne, a także przekazuje pieniądze z okazji różnych okoliczności, np. Dnia Dziecka, świąt Bożego Narodzenia. Z kolei środki finansowe płynące z budżetu gminy Wejherowo przeznaczone są na remonty poszczególnych pomieszczeń, zakup elementów wyposażenia i pomocy dydaktycznych.

Rodzice opłacają koszty eksploatacyjne, wyżywienie, zajęcia z rytmiki, wspierają Radę Rodziców. W sumie ro-

dzice zatrudnieni w fabryce placą miesięcznie za jedno dziecko 65 zł, natomiast osoby spoza fabryki 70 zł. Opłaty te zaliczane są do najniższych wśród tego typu placówek samorządowych na terenie ziemi wejherowskiej.

Przedszkole czynne jest przez jedno-następną część miesiąca od poniedziałku do soboty. Otwarcie placówki w soboty, rzadko spotykane gdzie indziej, warunkowane jest cyklem pracy rodziców w gościcińskiej fabryce. Rodzice, jak podkreśla Jadwiga Meyer, aktywnie włączają się w działalność placówki. Nie tylko uczestniczą we wszystkich imprezach i przedsięwzięciach przedszkola, ale także nie odmawiają, gdy zachodzi potrzeba, różnych form pomocy. Henryk Rąbca, szkolący na co dzień uczniów w fabryce, już wielokrotnie wspierał przedszkole w pracach naprawczych. Rolę sponsorów pełnią

KOMUNIKAT

15 lutego br. mija termin wpłaty I raty podatku od środków transportu. Wpłaty można dokonać w kasie Urzędu Gminy Wejherowo na osiedlu Przyjaźni 6 lub w poszczególnych urzędach pocztowych.

Maria i Jerzy Sreberscy oraz Jerzy Groth.

Chociaż obiekt jest stary, nie dostosowany do obecnej funkcji, dzięki remontom i stałej trosce personelu, dzieci mają dobre warunki dla zabawy i wypoczynku. Pomieszczenia są przestronne, jasne i schludne. Przedszkole, jak mówi Jadwiga Meyer, jest dla nich drugim domem. Poza uczestnictwem w wielu formach codziennych zajęć przedszkolaki z Gościcina z powodzeniem biorą co roku udział w regionalnych wystawach plastycznych, przeglądach jasełek i małych form scenicznych.

Trudno dziś sobie wyobrazić gościciński krajobraz bez Przedszkola Samorządowego. sj



Ocaleni z marszu śmierci

W 1995 roku w Gdańsku, z okazji zakończenia II wojny światowej, otwarta została wystawa hambuskiej artystki Sigrid Sigurdsson "Fragment to mała całość - Das Fragment ist ein kleines Ganses". Ekspozycja zorganizowana pod patronatem niemieckiego konsula generalnego prezentowała fotografie, dokumenty i wspomnienia z marszu śmierci - tragicznej ewakuacji więźniów obozu Stutthof na początku 1945 roku. Gminę Wejherowo na tej wystawie reprezentowały wspomnienia sześciu osób. Relacje spisane i opracowane przez Bolesława Bieszkę i Norberta Damaszkę zostały przekazane w darze dla miasta Gdańska. We wrześniu ubiegłego roku publikowaliśmy na łamach "Naszej Gminy" wspomnienia Moniki Tempkiej z Gościcina. Teraz drukujemy relacje Jana Górskiego z Gniewowa i Jadwigi Petke z Nowego Dworu. W następnym, marcowym numerze, pragniemy opublikować wspomnienia Alojzego Rucińskiego z Gościcina i nieżyjącej już Elżbiety Machol z Gowina. Red.

Jan Górski, Gniewowo

Mój ojciec był przed wojną zastępcą wójta gminy Wejherowo Wieś. W czasie okupacji nie przyjęliśmy grupy niemieckiej. Zabrali nam duże gospodarstwo. Objął je Niemiec Lange z Prus Wschodnich. Ojca osadzili w wejherowskim więzieniu. W listopadzie 1939 r. przyszedł pewien człowiek z Wejherowa i powiedział, że ojciec będzie jutro pracował przy zamykaniu ulicy w określonym miejscu w Wejherowie. Tam z matką spotkaliśmy go. Dał mi swój pierścionek i złoty zegarek. Powiedział, że jest wytypowany do jakiegoś obozu w Piaśnicy. Prosił mnie, abym postarał się o oświadczenie trzech Niemców, którzy znali go z łowiectwa, żeby pisemnie stwierdzili, że był dobrym człowiekiem. Pismo takie udało się załatwić i w ostatniej chwili zaniósłem je

do więziennej skrzynki na listy. Po sprawdzeniu wiarygodności oświadczenia zwolnili ojca do domu. W ten sposób uniknął losu ofiar Piaśnicy.

Na początku stycznia 1940 roku ojca i mnie skierowali do pracy w dużym majątku koło Elbląga. Pracowałem przy koniach. Ojciec protestował przeciwko ciężkiej pracy w niedzielę. Za to został aresztowany. Spotkał tam jednak kompana, Niemca, z którym był na I wojnie światowej. Ten załatwił mu jakieś zaświadczenie o chorobie i przyczynił się do zwolnienia ojca do domu. Zamieszkał w Chyloni.

Na majątku pod Elblągiem pracowało 15 angielskich jeńców wojennych. Mieszkali w oddzielnych pomieszczeniach. Otrzymywali duże paczki żywnościowe, z którymi dzielili się z nami. Rano przychodzili po nich Niemcy gospodarze i zabierali do pracy. Z dwoma Anglikami zaprzyjaźniłem się. Pewnego razu, po otrzymaniu przypustki, wyjechałem z nimi do Chyloni. Załatwiłem im cywilne ubrania i dzięki znajomości krewnego naszej rodziny, otrzymali pracę w porcie gdyńskim jako Francuzi.

Po powrocie na majątek zostałem aresztowany i przewieziony na sześć tygodni do więzienia w Elblągu. Tam byłem przesłuchiwany i ciężko bity. Ze związanymi rękami kładli mnie na kozła i zadawali po 25 razów. Anglików nie schwytały, ale mnie wmawiali, że ich mają.

W maju 1944 roku przewieźli mnie do Stutthofu i osadzili w bloku nr 9. Zachorowałem ciężko na krwawą biegunkę, dostałem się na dwa tygodnie do szpitala. Sanitariusza upoważniłem do odbierania moich paczek. Z jednej

paczki przyniósł mi suchary i suszone czarne jagody. Po nich szybko wróciłem do sił. W ten sposób wyzdrowiał również współwięzień Jan Konkol. Skierowany zostałem potem do ciężkiej pracy poza obozem w cegielni. Byłem prawie wykończony. Ojciec starał się jak mógł, by mnie z obozu wy dostać. Dowiedział się, że w obozie od kilku lat przebywa Szczepański, syn byłego kierownika szkoły w Ciechocinie. On postarał się o to, że zostałem zatrudniony u szewca.

Gdy otrzymałem polecenie wykonania oficerskich wysokich butów, z majstrem załatwiłem tak, że tylko je wykończyłem. Najczęściej buty "pucowałem". Obóz otoczony był drutem kolczastym, do którego się nie zbliżałem, gdyż mówili, że jest pod prądem. Kobiety przebywały w osobnym bloku. Były również Żydówki. Bochenek chleba dzielony był na ośmiu więźniów, dawali trochę margaryny. Na obiad otrzymywaliśmy porcję okropnej zupy z jakiegoś zielska. Gdy znalazł się w niej kartofel, to zachowywaliśmy go na ostatni kęs, chociaż czasami wyrwał mi go z miski współwięzień. Ci, którzy nie otrzymywali paczek cierpieli okropny głód, chociaż z paczkami dzieliliśmy się. Wystawać musieliśmy często na długich apelach, na których nieraz byliśmy świadkami bicia, a nawet publicznego wieszania. Ta największa kara stosowana była np. za próbę ucieczki lub za uderzenie wachmana. Zwłoki palili w krematorium. Wymarsz z obozu rozpoczął się w drugiej połowie stycznia 1945 roku. Co godzinę wyruszały kolumny z około 1500 więźniami. Przez Wisłę przeprawiali nas promami. Większość nazw miejscowości, przez które przechodziliśmy nie pamiętam, nie znałem ich, a ponadto były w języku niemieckim. Nieraz kluczyliśmy omijając większe miejscowości. Gdy dotarliśmy do Przodkowa dostaliśmy od ludności chleb i mleko. Niemcy na ogół na to pozwalali. Tam przez kilkanaście minut byłem wolny, lecz z braku szans ucieczki wróciłem do kolumny w kościele. Szliśmy przez Żukowo, Łebno, Łęczycę do Gęsi. W pewnej miejscowości staliśmy kilka tygodni. Następnie droga wiodła w kierunku Piaśnicy, gdzie ogarnął nas duży strach, gdyż wiedzieliśmy, że tam na początku wojny Niemcy dokonali masowych mordów.

Marsz odbył się w ostrych warun-



kach zimowych. Dokuczał głód i choroby. Gdy czasami dostawaliśmy od ludności jakąś zupę, przyjmowaliśmy ją nawet do obozowych czapek. Połowa z naszej kolumny padła z wycieńczenia. Gdy ktoś się chwiało, rozstrzelali, mówiąc, że nikt z ludności nie może widzieć słabych więźniów. Pewien współwięzień - major radził mi, abym zawsze szedł w środku kolumny. Gdy ktoś nie mógł unieść nawet swego koca, pomagaliśmy takiemu więźniowi.

Ostatni etap naszej straszliwej drogi prowadził z lasów Pańnicy do Wejherowa. Słychać było zbliżający się front. W

Wejherowie, w pobliżu dworca, udało mi się zbiec. Prawie na siłę wszedłem do mieszkania pewnej rodziny. Nie chcieli mnie wpuścić. Było to 11 marca 1945 roku. Jednak gdy następnego dnia weszli Rosjanie rodzina ta prosiła, bym pozostał i za nich się wstawił, z czego nie skorzystałem. Pozostali stutthowiacy trafili do wejherowskiego więzienia. Tuż przed wkroczeniem żołnierzy radzieckich rozstrzelali w nim około 30 więźniów i na miejscu pogrzebali. Po wojnie w czasie uroczystego pochówku na miejscowym cmentarzu byłem wśród tych, którzy nieśli trumny do wspólnej mogiły.



Jadwiga Petke, Nowy Dwór

Do Stutthofu zabrali mnie z Szemuda z moim ojcem Bernardem Malinowskim w sierpniu 1944 roku. Miałam wtedy 16 lat. Powodem było to, że u nas ukrywali się partyzanci. Tata miał z nimi ścisły kontakt, ja dawałam im pożywienie. Do matki Niemcy mieli prewencję, że o niczym nie wie. Jej jednak nie zabrali, bo była w ciąży. Ojciec we wrześniu był polskim żołnierzem. Niemcy namawiali go, by wpisał się na niemiecką listę narodową, jednak odmówił, za co był bity po twarzy. Otrzymaliśmy karty żywnościowe dla Polaków, o zmniejszonych racjach. Zabrali nas w niedzielę do więzienia w Wejherowie, gdzie zostaliśmy mocno pobici za to, że nie przyznaliśmy się do współpracy z partyzantami. Po kilku dniach przewieźli nas na gestapo do Gdańska, tam też przesłuchiowano i maltretowano.

Do Stutthofu zawieźli nas w zakratowanych pojazdach. Tam rozpoczęło się od kopniaków i rejestracji. Kobiety mieszkaly w osobnych barakach, ja byłam w siódmym bloku. Otrzymaliśmy obozowy ubiór. Początkowo pracowałam przy naprawach krawieckich, potem przy ziemniakach i warzywach. Panował straszny głód. Czasami udało się nam przemycić kilka ziemniaków, co w przypadku wykrycia karane było okropnym biciem. Pewnego razu prosiłam o nowe "klumpy", w odpowiedzi dostałam silne uderzenie w plecy, aż się przewróciłam.

Pracowaliśmy od wczesnego rana do późnego popołudnia. Panowała bardzo ostra dyscyplina, za byle co surowo karano. Rano dostawaliśmy czarną kawę, chleba często nam brakowało, bo przydzielono go poprzedniego dnia wieczorem. Na obiad da-

wano jakąś śmierdzącą mieszkankę zielską, również peluszkę. Po pracy umyliśmy się jakoś, robiłyśmy drobne reperacje swojej odzieży, często od-mawiałyśmy różaniec, nieraz płakałyśmy. Znacznie gorzej traktowano mężczyzn, bicie było na porządku dziennym. Kiedyś widziałyśmy jak z powodu zabrania ziemniaków, kładli podejrzanym na skrzyni i straszliwie bili. Byłyśmy świadkami wieszania więźniów, nie mogłyśmy na to patrzeć.

Pewnego razu w drodze do pracy zobaczyłam swego ojca, wyglądał okropnie, wykonywali różne, nieraz bardzo ciężkie roboty. Zdażył mi powiedzieć, "to będzie wnet koniec tej udręki, musimy jeszcze trochę wytrzymać". Ucieczka była niemożliwa, mieli psy. Raz dostałam paczkę od Sycho-wskich, ale chleb już był spleśniały. Częściej paczki otrzymywała Elżbieta Machol, dzieliła się chlebem, była dla mnie bardzo dobra. W obozie była komora gazowa i krematorium. Gdy nie mogli nadażyć z paleniem tam zwłok kładli je na stosie, dokładali drewna, oblewali benzyną i spalili. Widać było skrzęcające się w ogniu zwłoki, rozchodził się straszny smród, było to okropne. W drugiej połowie stycznia 1945 roku rozpoczęła się ewakuacja obozu. Mnie się wydaje, że początkowo kobiety wieźli w jakichś wagonach, promem przewieźli przez jakąś rzekę. Pamiętam, że potem szliśmy przez Żukowo w kierunku Łebna. Po drodze mijaliśmy wielu martwych więźniów. Uważa- nie się im przegladaliśmy, czy nie ma wśród nich mojego taty. Był silny mróz i dużo śniegu. Szłam w butach obwią- zanych drutem, jeszcze w obozie obmarzły mi nogi. Gęsto obok nas kro-

czyli esesmani. Nie miałam już sił, lecz koleżanki - Maria Kustoszczyńska i Elżbieta Machol - zmusiły mnie bym szła dalej. Doszliśmy do Luzina i Smażyna, nie wiem w jakiej kolejności, jakoś z nami krążyli, bo zbliżały się już wojska radzieckie. Na drogę dostawałyśmy po pół bochenka chleba, w marszu dostałyśmy od mieszkańców trochę pożywienia. Zdobyłam zmarzniętego buraka, którego nie mogłam ugryźć. Potem doszliśmy w okolice Gniewina, tam byłyśmy dłużej. Otrzymaliśmy od ludności trochę brukwi. Głód był okropny. W nocy zabiliśmy psa, ugotowałyśmy i z jakąś zupą zjadłyśmy. W wyniku tyfusu i rozstrzeliwań wielu pozostało tam na zawsze, zostali pochowani. Było nas coraz mniej. Z ponad tysiąca z naszej kolumny pozostała przy życiu połowa. To był prawdziwy marsz śmierci. Części udało się po drodze uciec, ale jak uciec w takim śniegu i zdradliwym ubiorze.

Dalej pędzili nas do Zamostnego. Słychać było frontową strzelaninę, esesmani byli w strachu. Tu Niemcy opuścili nas. Podeszliśmy do pewnego budynku zmęczeni, głodni, mokrzy, zawszeni. Tam dostałyśmy od Rosjan normalne pożywienie. Szłyśmy już wolno do Bartomina, bo stąd pochodziła Marta Dzienisz. Zachorowałam ciężko na tyfus. Jak się w wysokiej gorączce położyłam, to rano nie mogłam się ruszyć. Dostałam od radzieckiego żołnierza jakieś pigułki. W rodzinie Pipków leżałam kilka dni. Wypadły mi włosy, miałam zaburzenia wzroku. Potem doszliśmy do Szemuda, do domu. Tata był już w domu, lecz ciężko chory na tyfus. W silnej gorączce mówił, by rąbać stodołę, będzie co palić. Miał straszne pragnienie. Po trzech dniach zmarł.

Zbigniew Klotzke

BEDEKER LUZIŃSKI



*Od prawej Feliks Dziecielski,
Józef Dziecielski, Konkol
kierownik szkoły w Tępczu,
Antoni Dziecielski. Zdjęcie
wykonane przed szkołą w
Tępczu w okresie
międzywojennym*



Tępczu. Areszt. 9 września 1944 r., zginął w obozie koncentracyjnym Stutthof 19 grudnia.

Dziecielska Monika, córka Józefa. Jej wspomnienia były jednym z dokumentów wystawy „Fragment to mała całość – „Das Fragment ist ein kleines Ganzes” przygotowanej wg projektu hamburskiej artystki Sigrid Sigurdsson i zorganizowanej pod patronatem niemieckiego Konsula Generalnego w Gdańsku z okazji 50 rocznicy zakończenia II wojny światowej.

„Zostałam areszt. w dniu 9 września 1944 r., przez gestapo i Ukraińców. Areszt. mnie w moim rodzinnym domu, położonym we wsi Tępcz, gmina Luzino. W tym samym dniu gestapo areszt. mojego ojca Józefa Dziecielskiego oraz siostrę Rozalię Dziecielską (po mężu Wejher). Mojego ojca gestapowcy wraz z ukraińcami w niemieckich mundurach zabrali prosto z pola, kiedy orał. Przeprowadzili go do domu i zaczęli wieszać na drzewie gruszy. Podbiegłam do ojca i objęłam go wokół szyi, nagle jeden z gestapowców odepchnął mnie od ojca i przystawił mi pistolet do głowy. Błagałam tego gestapowca, żeby dali spokój ojcu. Pamiętam jak dziś, krzyknęłam „Matko Boska daj im lepszy rozum”. Potem przyszedł jakiś gestapowiec i kazał zdjąć sznur z szyi ojca. Kilku gestapowców wyprowadziło moją siostrę z domu, obchodząc się z nią bardzo brutalnie. Następnie zaprowadzono mnie, ojca i siostrę do ciężarowego samochodu. Przewiezieni zostaliśmy do niemieckiego więzienia w Gdańsku. Mnie i siostrę posadzili w tej samej celi, a ojca do osobnej. W więzieniu byliśmy z siostrą ciągle przesłuchiwane. Gestapowcy okrutnie nas bili po twarzy, plecach. Byliśmy z siostrą zbroczone krwią. Słyszałam z celi jak prowadzono z przesłuchania mojego ojca, jęczał z bólu. Mojej siostrze gestapowcy podczas przesłuchania zerwali z uszu złote kolczyki. Po prawie miesięcznym pobycie we więzieniu przetransportowali nas do obozu koncentracyjnego Stutthof. Było to na początku października 1944 r. Tym samym transportem jechał mój ojciec. Nie mogłam go poznać, był strasznie pobity przez gestapowców, twarz jego była opuchnięta i pełna siniaków. Bardzo przeżyłam to spotkanie z ojcem, popłakałam się. Jak się później okazało, było to ostatnie spotkanie z ojcem. Zginął w obozie koncentracyjnym i został spalony w krematorium. Hitlerowcy powiadomili rodzinę, że ojciec zmarł na atak serca i zaznaczyli, że istnieje możliwość wykupu

prochów. Rodzina nie wykupiła z powodu braku pieniędzy. Jak wróciłam do domu, to wyjaśniłam rodzinie, że prochy były wymieszane, bo w krematorium palono stosy trupów. Wracając do momentu przybycia do obozu koncentracyjnego rozdzielono nas, ojca i pozostałych mężczyzn do obozu męskiego, a mnie, siostrę i inne kobiety do obozu kobiecego. Skierowano nas do łaźni.

W obozie koncentracyjnym przeżyłam najtragiczniejsze chwile swego życia. Rano, od godziny 4.00 staliśmy w mrozie godzinami na apelu porannym. Esesmanki ciągle nas biły i wyzywały. Wykorzystywano nas do ciężkich prac. W obozie panował straszny głód i tyfus. Nawet w nocy nie można było spać, bo wszy i pchły strasznie nas gryzły. Nadszedł 1945 r. Pod koniec stycznia zaczęła się ewakuacja obozu. Czuliśmy przedsmak wolności. Myślałam, że najgorsze piekło już minęło, ale „Marsz śmierci” był największym piekłem, jakie widziałam na tej naszej ziemi. Szliśmy polnymi i leśnymi drogami. Panował silny mróz i były częste zawieruchy. Szliśmy w głodzie i chłdzie po własną śmierć, która była jedynym wyzwoleniem dla słabych i cierpiących. Ta prawdziwa wolność nie nadchodziła. Słabych i chorych więźniów gestapowcy zabijali, słychać były strzały i jęki zabijanych więźniów. Ludność kaszubska rzuciła nam chleb, esesmani byli bardzo wściekli z tego powodu, bili więźniów, szczuli psami, a nawet strzelali do więźniów za podnoszenie chleba z ziemi. „Marsz śmierci” był podzielony na kolumny. Moja kolumna szła (pamiętam tylko te miejscowości) przez Stutthof, Nowy Dwór Gdański, Przodkowo, Łebno, Wyszecino, Luzino, Kębłowo, Kostkowo, Gniewino.

Wyzwolona zostałam w Gniewinie 9 marca 1945 r. przez wojska radzieckie. Rosjanie dali nam kulawego konia i jakiś wóz. Nie byliśmy w stanie o własnych siłach dojść do domu. Otrzymaliśmy od żołnierzy radzieckich także koce, żywność i lekarstwa. Byłam tak wycieńczona, że nie czułam smaku wolności. Wraz z siostrą i moimi koleżankami udaliśmy się tym konnym wozem do Tępcza, do mojego rodzinnego domu. Nie było wśród nas naszego ojca. Siostra była ciężko chora na tyfus, ale jakoś wyszła, natomiast moja koleżanka z domu Szur wróciła ciężko chora na tyfus i zaraziła matkę i siostrę - wszystkie trzy zmarły. Moja siostra Rozalia Dzieścielska (po mężu Wejher) zmarła w 1985 r.

Do dzisiaj nie potrafię sobie odpowiedzieć na pytanie „dlaczego człowiek człowiekowi zgotował taki los. Kwiecień 1995 r.”

Monika ur. 6 lutego 1920 r. Wyszła za mąż za Gerarda Tempskiego z Tępcza.

Rozalia ur. 19 listopada 1914 r. Pochowana jest na cmentarzu w Bożym Polu.

Dzięcielski Józef (1924-1945), syn Józefa, (junior) został areszt. w pobliżu bunkra w lesie tępskim 18 lipca 1944 r. wraz z dwoma partyzantami „GP”, Brunonem Kreftą i Zygmuntem Pobłockim. Sąd skazał ich na karę śmierci. Zostali rozstrzelani 17 lutego w Gdańsku.

Józef miał zaledwie 20 l. jak poszedł do „lasu”, by uniknąć służby w wojsku niemieckim. Po dwóch latach życia w partyzantce został areszt. Korespondencja,